



ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI

BŁYSKI I CIEŃ

To jest darmowy fragment powieści.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca

CZEŚĆ

Teksty, które za chwilę przeczytacie, nie miały prawa powstać. Propozycja ich napisania zawsze przychodziła w najgorszym możliwym momencie – między wirusami złapanymi przez dzieci, małżeńskimi dramami, księgowymi frustracjami, wyjazdami na spotkania autorskie do Kórniku, próbami napisania kolejnych książek i tak dalej. I zawsze to była ta sama historia, przychodzi ten mail, jestem już w połowie grzecznego odpisywania, że nie ma takiego świata, w którym wezmę to zlecenie i wtedy – błysk.

Pytacie: jaki błysk?

Odpowiedź jest taka sama, jak odpowiedź na zadawane często w Kórniku pytanie, że skąd się właściwie biorą pisarze? Otóż, moim zdaniem, biorą się z małych dzieci, które szukają dla siebie bezpiecznej przestrzeni i czasami znajdują ją w książkach. Byłem takim właśnie chłopcem i kiedy już odkryłem świat pełen przygód i bezpieczny zarazem, nie chciałem go opuszczać. W ogóle. Czytałem wszystko, wszędzie, cały czas i podejrzewam, że to zamieniło mój mózg w maszynę bez przerwy oczekującą opowieści, bez przerwy opowieści produkującą.

A kiedy piszę „bez przerwy”, to nie ma w tym żadnej przesady. W każdej chwili każda myśl i każda życiowa sytuacja rozświełtają moje neurony możliwościami, scenariusze biegną do przodu, rozgałęziają się na alternatywne wersje, wątki poboczne i zwroty akcji. Wyobrażacie sobie, że kogoś poznajecie, fajna osoba, myślicie, może warto wypić razem kawę, zobaczyć czy się dogadujecie, ludzkie sprawy. Ja w chwili wypowiedzania zdania: „To może kawka?”, mam już w głowie warianty tej znajomości lata do przodu, ona odpowiada „spoko”, a ja uśmiecham się wzruszony, bo już jestem w środku sceny, gdy dekadę lub dwie później trzymam jej umierającego ojca za rękę, a on mówi: „dziękuję,

że pokazałeś Marzence świat, zawsze chciałem, żeby wyruszyła na wielką przygodę, a ja nie miałem na to ani czasu, ani odwagi”.

No i piszę ten mail, że nie ma mowy, spadajcie, nigdy nic dla was nie napiszę, ale już tam się dzieją procesy, przy „Serdecznie pozdrawiam” mam już tego opowiadania kilka wersji z tyłu głowy, dwie nawet mnie jarają, a jedna wydaje się całkiem niezła i pojawia się myśl, że w sumie skoro mam już pomysł, to teraz wystarczy tylko to napisać. Łatwizna, co nie?

Każda z tych historii wzięta się z takich błysków, uzbierało się tego trochę przez dwadzieścia lat i pomyślałem, że założenie Spółki Autorskiej Heca to dobry moment, żeby te teksty zebrać i Wam pokazać. Zwłaszcza, że niektóre z nich pisałem dla miejsc tak egzotycznych, że raczej nie mieliście szansy zapoznać się z nimi.

Bardzo Wam dziękuję, że jesteście ze mną przez te dwie dekady. Często, my pisarze, powtarzamy, że pisanie to bardzo samotnicza praca i jest to prawda, wykonujemy ją w odosobnieniu, ale nie jesteśmy w niej samotni – ponieważ mamy Was, Drogie Czytelniczki i Drodzy Czytelnicy. I tak samo jak czuję więź z różnymi osobami tylko dlatego, że znam, lubię i czekam na ich kolejne książki, żeby mnie zabrały w nową niesamowitą podróż – tak samo chciałbym wierzyć, że ja i Wy jesteśmy częścią jednego plemienia. Wiara w tę naszą wspólnotę sprawia, że tytułowe „błyski” nie są już tylko dziwacznymi wyładowaniami w moich neuronach – to nasze spotkania, nasze rozmowy, ale też wszystkie te chwile, które spędziliście ze mną w swoich fotelach i plażowych leżakach. Dla tych błysków to robię.

Pytacie zatem: jaki cień?

Po tym pierwszym błysku, który sprawia, że uważam pomysł napisania czegokolwiek za całkiem spoko, pojawia się cień. Bardzo szybko okazuje się bowiem, że znowu dałem się oszukać momentowi natchnienia, a gdy zaczynam zrodzony w jego błysku pomysł ubierać w bohaterów, w dialogi i w zdania, dociera do mnie, że wszystko trzeba przemontować i wymyślić od nowa. Pojawia się zwątpienie i już po chwili rozsiada się przy moim biurku strach, że tym razem się nie uda

i nigdy już nie napiszę zdania, które ma początek, koniec, a między tymi dwoma punktami okruczeństwa sensu, farewell pisarzu Zygmuncie, farewell.

Nie jest łatwo ten strach pokonać, tyle Wam powiem, ale zwykle jakoś się udaje. Dlaczego? Dla kolejnych błysków.

Miłej lektury

Zygmunt

#01

W 2004 roku – w sierpniu, tuż przed wyjazdem na wakacje do Szwecji – dostałem list od wydawnictwa W.A.B., że bardzo chętnie porozmawiają o nadesłanym rękopisie powieści „Domofon”. W mojej niespełna trzydziestoletniej arogancji poczułem się w związku z tym profesjonalnym pisarzem, a zawodowcy nie wysyłają przecież razem ze zgrają amatorów opowiadań na konkursy, prawda? Mimo to, kiedy Jerzy Pilch ogłosił w „Polityce” konkurs na opowiadanie, usiadłem do roboty. Czy chciałem uznania? Niekoniecznie. Chciałem natomiast poznać osobiście Pilcha jako zagorzały fan jego opowiadań i felietonów, obok Pawła Huelle był wtedy najważniejszym dla mnie mistrzem współczesnej prozy polskiej. „Historia portfela” została opublikowana w „Polityce”, trafiła potem do zbioru „Pisz do Pilcha”, ale samego Jurka poznałem znacznie później, przez to, że napisałem opowiadanie pod pseudonimem (czemu? nie mam dziś pojęcia), redakcji nie udało się mnie zaprosić na premierę.

KIEDY: 2004

GDZIE: TYGODNIK „POLITYKA”

HISTORIA PORTFELA

Dla Pana Jerzego Pilcha

Szanowny Panie!

Pozwalam sobie przesłać na Jego ręce historię pewnego portfela, który wpłynął na losy mojej rodziny. Ja starałem się starannie zredagowaną moją opowieść, ale od urodzenia nie mieszkam w Polsce i być może zrobiłem błędy w języku. Jeśli tak – proszę o wybaczenie.

Z wyrazami szacunku,
Erich Stein, München

Żydowski prapraprzodek, o którym nikt ze znanych mi członków rodziny nie potrafił powiedzieć, kiedy żył, był wedle legendy człowiekiem tyleż pobożnym co dziwacznym. On został zapamiętany dzięki stworzonej przez siebie tradycji nazywania wszystkich męskich potomków rodu imionami zaczynającymi się na literę E. Pradziad chciał podkreślić nasz związek z Bogiem, ale uznał że imiona na J – od pierwszej litery słowa Jahwe – byłyby zbyt zuchwałe, dlatego wybrał literę ostatnią, co miało być zarówno bogobojne, jak i skromne. Ciąg Ezechieli, Ezechiaszy, Efraimów, Emmanueli i Eliaszy trwał więc przez pokolenia. Mój dziadek miał na imię Eleazar, choć nie był już Żydem, lecz Polakiem żydowskiego pochodzenia, katolikiem. Razem z babcią, Polką polskiego pochodzenia, mieszkali od początku lat dwudziestych w niemieckim Stettinie, gdzie prowadzili mały zakład fotograficzny.

W 1933 roku dziadek znalazł portfel. Było to w marcu, po wyjściu z przedstawienia w Stettiner Stadttheater, koło torów

tramwajowych przecinających plac przed monumentalnym gmaszyskiem. Brązowy, duży skórzany portfel bez żadnych ozdób. W środku złożony na czworo Personalausweis, niemiecki dokument tożsamości ze zdjęciem, trochę niemieckich i polskich banknotów oraz monet, skasowany bilet kolejowy relacji Breslau – Stettin i małe zdjęcie o poszarpanych brzegach, wyrwane prawdopodobnie z większej zbiorowej fotografii. Przedstawiało młodą brunetkę. Dziadek, człowiek dotychczas absurdalnie uczciwy, schował portfel do kieszeni. Uczynił to z dwóch powodów. Po pierwsze twarz na zdjęciu w Personalausweis była do niego łudzaco podobna, po drugie Niemiec nazywał się Eberhardt. Eberhardt Schwarz.

Skradziony – lub raczej niezwrócony – portfel leżał w szufladzie, a nagonka na Żydów stawała się coraz groźniejsza. Nie wiem dlaczego, ale dziadek nie chciał wracać do Polski. Niemiecki dokument tożsamości mógł odmienić życie jego i babci, pod warunkiem, że zamieszkają w miejscu, gdzie nikt ich nie zna. Wyprowadzili się więc do Landsbergu. Tam ponownie wzięli ślub, tam w 1937 roku urodził się mój ojciec Edmund i tam pana i panią Schwarz zastała wojna.

Przez sześć lat żyli w miarę spokojnym życiem obywateli kraju, którego uzbrojona reprezentacja gra mecze tylko na wyjeździe. Potem na rewanż przyjechała armia ludowa i niemieckie nazwisko w niemieckim mieście przestało gwarantować bezpieczeństwo. Dziadek zginął w sposób mało bohaterski i przypadkowy w czasie sowieckiej ofensywy, a babcia razem z moim ojcem przetrwała „wyzwalanie” w kryjówce zbudowanej przez zapobiegliwą sąsiadkę z czwórką dzieci. Ona później czym prędzej przedostała się do rodzinnej Częstochowy i wróciła do panieńskiego nazwiska. Rola portfela w tym pokoleniu dobiegła końca, choć babcia cały czas przechowywała go jak relikwię.

Tymczasem mój ojciec dorastał i jak każdego dzieciaka, co i raz trawiły go podsycane słomą płomienie kolejnych zbierających

pasji. Po krótkiej fascynacji znaczkami, kartami do gry i tytułami z pierwszych stron gazet odkrył portfel, a w nim – przedwojenne bilety Deutsche Reichsbahn. Były to lata pięćdziesiąte.

Przed upływem dekady jego kolekcja zajmowała już kilka segregatorów, a niektóre bilety pochodziły z miejsc tak egzotycznych, że musiały być fałszywe – nikt nie wierzył, że istnieją tam tory. To kolejowe panoptikum było efektem żmudnej korespondencji z przedsiębiorstwami przewozowymi, polskimi konsulatami i innymi zbieraczami. W 1961 roku, kiedy pasja taty trochę przygasła, choć ciągle była żywa, wyjechał do Berlina na zjazd jemu podobnych dziwaków. Zbieracze okazali się towarzystwem wesołym, impreza skończyła się nad ranem już w Berlinie Zachodnim (muru jeszcze nie postawiono), a osiem miesięcy później urodziłem się ja. Wcześniak, Niemiec, Polak, trochę Żyd, obywatel Republiki Federalnej Niemiec. Krajan Eberharda Schwarza, któremu przydarzyło się zgubić dokumenty przed szczecińskim teatrem miejskim.

Małżeństwo moich rodziców trwało niewiele dłużej niż chwila, jaką poświęcili na stworzenie jego przyczyny. Stosunki pomiędzy mną, matką i ojcem to temat na osobną tragikomiczną opowieść. Ważne, że dzięki niemu mam na imię Erich i czuję się Polakiem równie mocno, jak czuję się Niemcem. Byłem już na studiach, kiedy tata podarował mi – z zawartością nietkniętą od ponad 50 lat – portfel Schwarza. Wówczas usłyszałem, w jak dziwaczny sposób przedwojenne znalezisko wpłynęło na losy rodziny.

No i stało się. Tak jak dziadek i ojciec uległem fascynacji zawartością pugilaresu, jednak moje zainteresowanie zogniskowało się na zdjęciu tajemniczej kobiety. Postanowiłem odnaleźć rodzinę Schwarza i dowiedzieć się, kim ona była. Wyobrażenia podsuwała mi barwne scenariusze, które nieodmiennie kończyły się odnalezieniem młodej, pięknej i seksownej prawnuczki brunetki ze zdjęcia. Zaczęły się długie, akademickie wakacje, a ja

pojechałem do Monachium szukać rodziny, która w latach trzydziestych zamieszkiwała przy Viktoriastrasse 12a.

Tutaj historia gubi dramaturgię. Jest niestety prawdziwa, a prawda bywa w przykry sposób pozbawiona węzłów dramatycznych i rzadko kiedy zmierza do przynoszącego oczyszczenie finału.

Pod adresem z dokumentu, w dzielnicy Schwabing, mieszkała elegancka pani, lat około sześćdziesięciu, córka Eberharda Schwarza. Bezdzietna (niestety!) i zupełnie niepodobna do kobiety ze zdjęcia. Z zainteresowaniem, a nawet zdumieniem wysłuchiwała mojej opowieści. Nie miała pojęcia, że jej ojciec, nieżyjący od lat 60., kiedykolwiek odwiedził Wrocław, a tym bardziej Szczecin, nic też nigdy nie słyszała o jakichkolwiek jego kontaktach z Polską, które mogłyby tłumaczyć obecność złotych w portfelu. Owszem, często podróżował, lecz nigdy w tamtym kierunku.

– Czy mogłabym odzyskać ten portfel? Albo przynajmniej go obejrzeć? – spytała pod koniec rozmowy.

Miałem go przy sobie. Wiedziałem, co odpowiem i czułem, jak przez kieszeń marynarki skóra portfela wypala na mojej skórze piętno złodzieja. Czułem też obecność dziadka Eleazara, współnika w zbójckim interesie.

– Niestety, zaginął w czasie wojny. Dziadek miał go przy sobie, gdy zginął – skłamałem (zataiwszy oczywiście uprzednio powojenną część historii).

I wyszedłem. Resztę wakacji spędziłem w Monachium. Mieście, które pokochałem, gdzie skończyłem studia, znalazłem żonę i gdzie obecnie mieszkam. Czasem myślę, że to śmieszne. Mój dziadek został Niemcem z konieczności, mój ojciec z wyboru, ja z urodzenia. Dziadka przed nazistami ocalił niemiecki dokument, a ja jestem dumnym obywatelem miasta, w którym narodził się narodowy socjalizm. Miasta swego dziwnego chrzestnego dziadka Eberharda.

Koło się zamknęło. Być może to koniec historii portfela, być może nie. Każde kolejne pokolenie odkrywało w nim coś innego. Teraz leży w czerwonej szkatułce i czeka, aż moja dziesięcioletnia obecnie córka być może po niego sięgnie. Córka, której przezornie dałem na imię Edith.

Erich Stein

#09

Cóż to była za przygoda! Postanowiłem napisać kontynuację „Bezcennego” (ostatecznie powieść ukazała się jako „Kwestia ceny”) i w jakimś ataku szaleństwa uznałem, że w tym celu muszę odbyć rejs prawdziwym wielkim handlowym statkiem. Miała być wycieczka, skończyło się na kilku tygodniach na oceanie, przez które to tygodnie – odcięty od telefonu, maila i internetu – pisałem książkę, ale pisałem też dziennik wyprawy, żeby nie zapomnieć wszystkich anegdot wartych opowiedzenia po powrocie. Ta wersja jest oczywiście ocenzone, nie ma w niej erotycznych tęsknot, nie ma złośliwych portretów członków załogi, nie ma morskich opowieści, o pominięciu których zostałem poproszony. Ale przetrwała najważniejsza emocja tamtej wyprawy – że odcięcie od nadmiaru informacji, wiecznego kontaktu wszystkich ze wszystkimi oraz odmóżdżającego szumu tzw. mediów społecznościowych (a tak naprawdę antyspołecznych) to stan błogosławiony, który powinien być przepisywany na receptę.

KIEDY: 2019

GDZIE: W MOICH PRYWATNYCH NOTESACH

CZŁOWIEKU, NIE IRYDUJ SIĘ

Dziennik pokładowy atlantyckiego rejsu masowcem m/v Iryda, która to przygoda miała trwać dziesięć do czternastu dni, a trwała prawie pięć tygodni, ponieważ agw wp, o czym za chwilę.

CZERWIEC

Warto czasami spędzić piętnaście godzin jednego dnia w PKP, żeby pojechać do Szczecina na lunch. Pojechałem w czerwcu do Polskiej Żeglugi Morskiej, żeby się prosić o przejażdżkę „możliwie największym statkiem” ze Szczecina do Hamburga, czy coś w tym stylu. Na co panowie armatorzy: niech pan z nami popłyń z Holandii na Wielkie Jeziora. Ja: żona się ze mną rozwiedzie, jak wyjadę na kilka tygodni. Oni: ha, ha, ha, taki rejs trwa dwa tygodnie najdłużej. Ja: czemu nie.

WRZESIEŃ

Minęło czasu niedużo, niemało, okazało się, że popłynę Irydą. Odezwał się agent PŻM z Londynu, że „Statek w drodze z Hiszpanii do Teesport, ETA Teesport 16/90 600 agw wp, ETB 18/9 pm, ETC/S Teesport 21/9 pm agw wp, ETA IJmuiden 22/9 pm agw wp.”. Gdzie „agw wp” to „all going well, weather permitting”. Czyli jak Bóg da i pogoda pozwoli, ale nic nie obiecujemy.

Uznałem to za uroczo staroświeckie. I kupiłem bilety do Amsterdamu.

DZIEŃ 1 – CZWARTEK, 26.09

Miał być statek, jest Bruksela. Zadzwoiłem z taksówki na Okęcie do kapitana (sympatyczny gaduła), a ten żeby się wyluzować, bo stal jest wrażliwa na wilgoć, w Holandii leje, załadunek się przeciąga, wypłyną najwcześniej w niedzielę. W pierwszej chwili pomyślałem: Amsterdam, trawka, piwko i – tutaj chciałem wstawić nazwę kultowego holenderskiego dania, ale nic mi nie przychodzi do głowy – smażony maasdam dajmy na to. W drugiej – pojechałem do przyjaciół do Brukseli.

[...]

DZIEŃ 3 – SOBOTA, 28.09

Jestem w IJmuiden (to nie literówka, pierwsze dwie litery pisze się z dużej), miejscu, gdzie zaczyna się kanał, łączący Morze Północne z Amsterdamem. Jest tu portów i śluz od groma, jest też olbrzymia huta, na tyle olbrzymia, że ma własne nabrzeże, przy którym stoi Iryda i ładuje stal. Pejzaż jak z Mad Maksa, hałdy, dymy, kominy, dźwigi portowe, statki. Nie było łatwo się tu dostać, musiał dostać osobną przepustkę taksówkarz, osobną ja, osobną przypadkowo napotkani powracający z zakupów mechanik i marynarz z Irydy.

Na marginesie: nie jest łatwo się tu dostać, nie jest się też łatwo wydostać. Nie mogę jutro iść pobiegać, bo by mnie ochrona odstrzeliła, muszę zamówić transport ze statku do bramy, tam pobiegać, potem żeby wrócić pokazać paszport, dostać przepustkę, zamówić transport. No zobaczymy.

O statku będę jeszcze pisał, pierwsze wrażenie oszałamiające. Tak, wiem, z pewnego punktu widzenia to po prostu pływający tir, ale wszystko tu pachnie przygodą. Okna z czterema zakręcanymi zamkami, widok z pełnego tajemniczych urządzeń mostku

na ładownie, pomarszczoną od wiatru wodę i morze w tle, mesa oficerska z ceratką, spiżarnie ze stalowymi drzwiami za kuchnią, każdy kąt jest nowy, niezwykle, po prostu magiczna przestrzeń.

Ważne: jest ekspres do kawy, a nawet dwa. I jest orbitrek, więc będę mógł trenować.

Kajutę mam na samej górze, są tutaj tylko drzwi do mojego wypasionego apartamentu (łóżko, kanapa, stolik kawowy, biurko) i na mostek. Na pokładzie D, czyli jakby na czwartym piętrze, jeśli parter to poziom głównego pokładu.

Kapitan wygląda jak kapitan, sympatyczny, serdeczny, gaduła. Drugi oficer to czytelnik i nawet mnie kojarzy! Super. Kucharz nowy, Rumun. Kapitan się martwi, że jeszcze nie trafia z polskimi daniami, ja mam nadzieję, że jednak będzie gotował po rumuńsku. Na kolację była smażona kielbasa, no i kucharz poległ. Może jak zaczniesz robić pikantne potrawy z baraniny, to będzie lepiej. Swoją drogą, wyobrażacie sobie? Gość jest zawodowym kucharzem, zatrudnia się na statku i dostaje zlecenie od kapitana: na kolację proszę usmażyć kawałki kielbasy. Pewnie myślał, że to żart, skrót myślowy. Ale z sosem? Gulasz? Jakieś danie? Nie, nie, proszę usmażyć kielbasę. Do tego suchy chleb i musztarda. Trzymam kciuki za G., żeby mężnie postawił się oficerom. Inaczej będę musiał znaleźć miejsce, gdzie razem z innymi Rumunami potajemnie będziemy jeść normalne jedzenie.

PS. Hmm, to podstępne. W każdej chwili można zejść do mesy, gdzie na nocnych gastrofazowców czeka chlebek, maselko i lodóweczka z prowiantem. Dwa razy już schodziłem na tosty z boczkiem i korniszonem. Wszystko przez to, że pracuję, mózg spala najwięcej kalorii.

DZIEŃ 4 – NIEDZIELA, 29.09

O 7.30 w mesie obudził mnie na dobre widok serdelka. To nie żart. Na kolację podano kielbasę, chleb i musztardę. Na śniadanie: serdelek, chleb i musztardę. A mówili, że na statku ciężko nie przytyć i żebym uważał. Słyszałem też zawsze, że marynarzy karmi się bosko, żeby byli zadowoleni i się nie buntowali. Wszystko nieprawda. Wygląda to jak jedzenie więzienne. Albo szpitalne. Załoga radzi pójść do sklepu i kupić gorące kubki i przekąski, bo inaczej nie przetrwam.

Pójdę, jak jutro otworzą sklepy. Leje. Biegać się nie da, ładować towaru też nie. Idę rozkminić ekspres do kawy.

Pracuje się cudownie, ale wszyscy mówią: pracuj, dopóki możesz. Bo jeden: w mojej luksusowej kajucie na szczycie nadbudówki najbardziej buja. Bo dwa: ładunek stali sprawia, że statkiem buja bardziej, ponieważ zmienia się środek ciężkości. Bo trzy: zmierzający na północ huragan nie słabnie. Czyli ma być w ogóle źle, z tym ładunkiem gorzej, a w mojej kajucie najgorzej. Super.

DZIEŃ 5 – PONIEDZIAŁEK, 30.09

Hmm, od czego by tu zacząć. Może od najważniejszego, czyli od Lorenzo. Nikt o niczym innym nie mówi. Lorenzo to huragan najwyższej piątej kategorii, który zapisuje się właśnie w historii jako najmocniejszy w dziejach obserwacji meteorologicznej spośród tych, które tak daleko zawędrowały na wschód i na północ. Zasuwa teraz prosto na Irlandię, ale sytuacja jest dynamiczna. Załoga raczej szczęśliwa, że załadunek się przedłuża, oficerowie full profeska, mają przygotowane różne szlaki i trasy, ale widzę po ich minach, że chętnie by przeczekali. Nagłówki „Monster storm could hit Europe” nie polepszają nastroju.

W nocy przedsmak paskudnej pogody, wiało jak nigdy nie wieje na lądzie, ulewny deszcz zasuwał poziomo, wszystko wyło i gwizdało. A wiało raptem 30 węzłów (60 km/h), czyli jakaś jedna czwarta Lorenzo. No zobaczymy. Na razie słoneczko zza chmurki, przyjemnie.

Poza tym z zaznajamiania się ze statkiem przeszedłem na zaznajamianie się z załogą. Relacje społeczne na statku – arcyciekawce. Też zaczynają mnie traktować normalnie, przez pierwsze dwa dni wszyscy chodzili jak wokół śmierdzącego jajka, podobno ich straszyla, że VIP, pisarz i mają się zachowywać.

DZIEŃ 6 – WTOREK, 1:10

Z dobrych wieści wiadomo już, że wypływamy jutro (środa) o 1300, opóźnienie pozwoli minąć się z huraganem, który cały czas zasuwa na Irlandię. Będzie wietrznie i sztormowo, ale „sztormowo” brzmi lepiej niż „huraganowo”. No i samego otwartego oceanu jest siedem dni, wcześniej okrążanie Wielkiej Brytanii, potem Kanada i Rzeka Świętego Wawrzyńca. Tak się pocieszam trochę i liczę, ile mam pastylek locomotiwu. Na sześć dni, he.

Powtarzam sobie, że to tylko śmierdzący dieslem pływający zakład pracy z beznadziejnym żarciem, ale nie jestem odporny na romantyzm tego zawodu: ciągłego ruchu, morza, rozkosznej niepewności, jakie przyjdzie zlecenie, dokąd zaprowadzi kolejny rejs. Maroko? Brazylia? Turcja? Teraz jestem stary i mogę takie tęsknoty i fascynacje spełniać na jachcie, ale gdybym odkrył to dwadzieścia lat temu, nie wiem, czy bym nie uległ. Tak piszę teraz, zobaczymy zaraz, czy nie zweryfikuję tego po tygodniu wiszenia na kiblu.

Marynarze mawiają, że jeśli ktoś pojedzie w swój trzeci rejs, to już zostanie. Poza tym oczywiście wszyscy „są na ostatnim rejsie”, „rzucają tę robotę” i „to nie to samo co kiedyś”.

Jęczą, narzekają, ale jak się rozgadają, to się zaczyna o portach, o knajpach na końcu świata, o plażach, o przygodach, że mieszkanie jest, jedzenie jest, cała kasa do kieszeni, chodzeniem na zakupy i wyprowadzaniem psa martwić się nie trzeba. Dziwny jest ten mindset, ale bardzo spokojny. Serio, nie wiem dlaczego, ale oni wszyscy są bardzo spokojni jak na polską średnią. Może to efekt organizacji, w której życie jest przewidywalne, każdy doskonale wie, co i kiedy ma zrobić. Może to morze. A może brak codziennej bieżączki.

DZIEŃ 7 – ŚRODA, 2.10

No i dupa, nigdzie nie płyniemy. Miało być dziś o 1300, będzie jutro o 0600. Bo obok stanął drugi statek, zabrali nam jeden dźwig i tylko jeden ładuje. A rano jak poszedłem na spacer po pokładzie, to się cieszyłem, że skoro już tylko jeden dźwig ładuje, to znaczy że końcówka. Podobno ten termin już nienaruszalny, niezależnie od pogody.

Tyle dobrego, że wszystkie cyklony i sztormy przejdą bokiem. Rozhuśtany ocean nas wybuja na wszystkie strony, ale bezpośredniego przejścia przez sztorm unikniemy.

DZIEŃ 8 – CZWARTEK, 3.10

Jest trzynasta. Stoimy w porcie. Niewiarygodne. Tyle dobrego, że załadunek skończony, wszyscy latają w te i we w te, przygotowując statek do wypłynięcia.

I szykują papiery. To niesamowite, ile tu jest biurokracji. Papiery dla armatora, papiery dla portu, dla agenta, dla wysyłającego towar, dla odbierającego towar, dla IMO (International Maritime Organization, agenda ONZ ds. morza), być może nawet między kabinami sobie przesyłają jakieś faksy, odjazd zupełny.

Plus: nie musicie się martwić o huragan. Prognozy może nie brzmią „ocean spokojny jak tafla jeziora”, ale też nie różnią się bardzo od tego, co już przeżyłem na Atlantyku i to w małej żaglówce, a nie na dwustumetrowym statku. Na dodatek drugą część podróży ma nam wiać od rufy, więc droga może pójść szybciej, niż w moich założeniach. Najgorzej z biletem lotniczym, nie chcę kupować w dzień wylotu, a teraz nie ma sensu, bo jeżeli nie wceluję, to albo będę w plecy cenę biletu albo będę musiał płacić za hotel w Chicago, czekając na odlot. Zamierzam zająć się tym u wybrzeży Kanady.

Tak, wiem, to pretensjonalne, ale kiedy piszę, „zrobię to u wybrzeży Kanady”, czuję się jak bohater powieści przygodowej. To też efekt tego, że czytam cały czas książki o przygodach naszych zesłańców na Syberii, trochę hulaków, trochę naukowców, trochę poszukiwaczy przygód, no naprawdę niezłe życiorysy. I tak sobie myślę, że ja też jestem takim poszukiwaczem przygód. Wiem, wiem, słyszę siebie, ale pozwólcie mi marzyć.

1800. Pilot na pokładzie, zaczynają się manewry. Wszystko pochowane i przywiązane, nawet ja ustawiłem równiutko książki na półce i schowałem do szuflady kubek do kawy. Idę na mostek przyciąć się w kąciку i robić notatki.

1900. Płyniemy! Przedziwnie, właściwie nawet megaprzodziwnie. Jacht jest malutki, tutaj nadbudówka ma wielkość kamienicy, a moja kajuta wielkość pokoju hotelowego. Pokój, która się kiwa – superśmieszne. No i od razu dowiedziałem się, czego nie schowałem, zbierając rzeczy z podłogi. Długopisy, bidon, butelki wody.

Idę sobie zrobić kawę, potem może mała drzemka, żebym miał siłę w nocy posiedzieć na mostku. No i pewnie zaraz rzygnę, co

nie ma nic wspólnego z chorobą morską, za ta bardzo wiele z pierogami na kolację.

CIĄG DALSZY NASTĘPUJE W KSIĄŻCE!

LINK **TUTAJ**

#12

Lubię ten tekst, a jednocześnie ciężko mi na niego patrzeć, bo to mój wielki wyrzut sumienia. Lubię, bo wracam w nim do Olsztyna, bo narracja jest dość szybka i zabawna, bo w końcu wyśmiewam w nim swój stary pomysł na „książkę na Nike” i jeszcze sugeruję powrót Szackiego do akcji po latach spędzonych w więzieniu. A wyrzut sumienia wynika stąd, że w wersji audiobookowej wspaniale to opowiadanie przeczytał Grzegorz Gromek z Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Bo też jest to opowiadanie powstałe do specjalnej antologii na stulecie tegoż teatru (oraz osiemdziesięciolecie jego polskości). Wyszło to tak świetnie, że powstał pomysł przekształcenia opowiadania w monodram dla Grzegorza, a że jestem wielkim fanem jego talentu („Mireczek” najkoniecznie, jeśli czytacie to w czasach, kiedy ciągle to grają), bardzo się do pomysłu zapaliłem – i nigdy nie napisałem, bo się zaczęła heca z Hecą. Ale gdy opadnie kurz bitewny, to mam zamiar do tego wrócić, a tymczasem poszukajcie wersji audio na YT albo stronie teatru.

KIEDY: 2025

GDZIE: „CAŁY ŚWIAT TO ŚCIEMA”, TEATR IM. STEFANA JARACZA
W OLSZTYNIE

CAŁY ŚWIAT TO ŚCIEMA

*Widzisz? Nie tylko nas nieszczęście trapi.
Rozległy teatr tego, co istnieje,
Zna widowiska smutniejsze niż dramat,
W którym my gramy.*

Fragment „Wiele hałasu o nic” Williama Szekspira
w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka

Jak osiągnąć sukces w sztuce? Serio, to jest pytanie, które mi pan zadaje? Z akademickiej ciekawości? No niech będzie.

A więc pytacie mnie kochani, jak osiągnąć sukces w sztuce. Otóż nie mam, kurwa, pojęcia. Wszyscy mamy mniej więcej tyle samo talentu, mniej więcej tak samo się staramy, mniej więcej robimy podobne rzeczy, nie ma co ściemniać, że polski szołbiz to jest najbardziej lśniąca innowacją branża świata. I jedni wskazują na szczyt, a reszta gdzieś tam siedzi w medianie zarobków sześć koła miesięcznie i ssie swoją frustrację, żeby oszukać głód. Ja odniosłem sukces. Za duży, niewspółmierny do wysiłku i talentu oraz niestety o wiele za wcześnie. Są autorzy jednej książki i gwiazdy jednej piosenki, co to zabłysnęli, potem się zestarzelili i teraz są takimi typami i typiarami w średnim wieku, kiedyś wielka sława, a co dokładnie, no matko nie pamiętam, ale ostatnio szło w złotych przebojach. Kojarzy pan, mniejsza o nazwiska.

Ja jestem gwiazdą jednego dramatu. „Kundelek”. Może pan słyszał. Film też zrobili. „O wojnie, która jeździła koleją”. Proszę nie oceniać, nie ja robiłem adaptację, nie ja też oczywiście ten zgrabny tytuł wymyśliłem.

To był początek lat dwutysięcznych, zaraz po „Sąsiadach” Grossa, wszyscy się rzucili na temat, w Akademii Teatralnej żeśmy endemiczny wyssany z mlekiem matki polski antysemityzm tropili jak owczarki niemieckie uciekinierów z obozów. Wszyscy oczywiście chcieli dekonstruować „Kupca weneckiego” i opowiadać à rebours, jak Shylock jest biedną ofiarą systemu, osadzając akcję a to w przedwojniu, a to w getcie, a to w 1968, a to we współczesnej małomiasteczkowej Polsce. W takiej atmosferze szukałem pomysłu na dyplom i po jakiejś marihuanowej nocy – mogę tak mówić? To się przedawniło, prawda? – olśnienie: mały żydowski chłopiec ze swoim psem przemierzają okupowaną Polskę. I chłopiec zachowuje życie tylko dlatego, że ludzie litują się nad biednym stworzeniem, więcej mają bowiem litości dla wyliniałego kundla, niż dla małego Żydka. Już dobre, co nie? Ale proszę słuchać dalej: wszystko opowiedziane z punktu widzenia psa, który z psią prostodusznością i ufnością zauważa i komentuje świat.

Minimalna obsada, w roli psa przekornie Michał Żebrowski (taki piękny, a cały spektakl w kostiumie), do tego żydowski chłopiec, dwie osoby w zmieniających się rolach Polaków, którzy endemiczny antysemityzm wyssali z mlekiem matki. Rozdzielające sceny z totalnym odwróceniem ról, kiedy chłopiec patrzy na psa i prosi go wzrokiem o podzielenie się jedzeniem. Polskie dzieci, które błagają rodziców, żeby przepędzili małego Żydka albo przynajmniej na gestapo donieśli do miasteczka, bo chcą zatrzymać słodkiego kundelka. Warszawska publiczność oszalała, „Gazeta Wyborcza” – a wtedy prasa coś znaczyła – nie tyle jadła mi z ręki, co łaśliła się, mruczając i ocierając o moje postrzępione czarne dżinsy studenta Akademii Teatralnej. Dyplom wystawiłem w Rozmaitościach. Pojechałem na Fringe do Edynburga. We Francji i Stanach nosili mnie na rękach jak mesjasza, który niesie dobrą nowinę, że to gdzie indziej, w dalekiej pochmurnej Polsce są prawdziwi antysemita, a nie w ich cywilizo-

wanych światach. W Niemczech wystawiali „Kundelka” w każdym kurwa domu kultury, z wielkim trudem chowając triumfalne uśmiechy za poważnymi minami i pierdololo, że „Europa zasługuje na szczerą rozmowę o historii”. Jeździłem tam wszędzie, zgarniałem walutę, żarłem za frajer, chlałem jak polski artysta, próbowałem się przespać z każdym, nawet drugą parę czarnych dżinsów sobie kupiłem. Byłem królem.

Film szybko zrobili, miał być kandydat do Oscara, nowa „Lista Schindlera”, a wyszło polskie gówno po taniości, jeszcze kanty poobcinali, żeby nikogo nie urazić i żeby dofinansowanie z PISF dostać, więc Polacy byli dobrzy, Żydzi byli dobrzy, Niemcy raczej przyzwoici, kukła psa wyglądała gorzej niż smok z „Wiedźmina”, a że voice over robił Żebrowski świeżo po „Wiedźminie”, to wszyscy mieli bekę, że to powinni sprzedawać w pakietach. Nieważne.

Na swoją obronę powiem, że to było na długo przez zagłupole, przed standuperami z Auschwitz, makijażystkami z Treblinki i całym tym żenującym syfem, jakby każdy, kto potrafi zestawić podmiot i orzeczenie, musiał się upaść na Zagładzie. Pamiętam, w jednym wywiadzie postawiłem tezę, że nie ma polskiego artysty ani artystki, ani osoby artystycznej, której w jakimś momencie kariery żydowskie zwłoki by nie zapłaciły rachunków za... no powiedzmy, że za wodę, bo jednak bez przesady. Oburz był straszny, że to przecież nie jest tak, że z tragedii sobie paśnik zrobiliśmy, że my rozliczamy, dyskurs prowadzimy z pamięcią, transgeneracyjną traumę przerabiamy, no umierałem ze śmiechu. Ale wiadomo, sztuka, nie oceniam, na tę falę wskazujemy, która akurat jest modna. Przerabiałem już Żydów, homoseksualistów (tak długo żyję, że pamiętam czasy, kiedy byli kontrowersyjni), osobiszczą, które opuściły opresję płci, aby paść się na żywnych łąkach niebinarności, znajdowanie pedofilii w każdym kącie sceny, regularne jak oceaniczne pływy naburmuszone fale feminizmu, a ostatnio histeryczne poszukiwanie przez

wszystkich chłopskich korzeni, najlepiej takich co to wždy słońca nie widziały, jeno wzrastały w bagnistym gruncie nędzy, głodu i przemocy seksualnej.

Na swój sposób ma to sens terapeutyczny – naprawdę serdecznie polecam polski teatr – człowiek posiedzi dwie godziny na widowni, to potem do domu na kolanach wraca, szepcząc modlitwy dziękczynne, że takie ma życie pogodne, szczęśliwe i spełnione. Że nikt go w tym tygodniu nie zabił, ani nawet nie zmolestował, a przecież przez tysiąclecia była to codzienność polskich chłopów, z których wszyscy się wywodzimy. Amen.

Do rzeczy. Jak słusznie wszyscy podejrzewamy, patrząc na przypadki osób, mniejsza o jakich nazwiskach, żadna sława nie trwa wiecznie, zwłaszcza kiedy się nie pisze, nie śpiewa i nie reżyseruje. Próbowiałem coś pisać, ale niestety nie były to rzeczy dobre. Co gorsza, okazało się, że reżyserem też jestem przeciętnym. Moja dusza to dusza była pisarska, wsobna, introwertyczna – tyle że talentu starczyło mi na jedną opowieść. Reżyseria z koniecznością zarządzania, empatii, otwarcia się na innego człowieka, cóż. Zazdrościłem tym, którzy na scenie tworzyli z aktorów drużynę dążącą do wspólnego celu, jeden za wszystkich i wszyscy za jednego. Ja raczej reżyserowałem w taki sposób, w jaki przeciętny menedżer prowadzi dział w korporacji. Świata nie zmienię, ludzie znudzeni rozglądają się za nową robotą, ale cele na koniec kwartału zrobione.

Bolało. Naprawdę bolało. Bo jak ktoś raz poczuje, jak to jest być gwiazdą rocka, to bardzo, ale to bardzo wyraźnie czuć, kiedy to traci. Więc zaliczyłem klasyczne artystowskie dramy, toksyczne związki, rozwody, romanse, depresje, uzależnienia, odwyki, nowe uzależnienia, nerwice, banał jak bohema długa i szeroka. Był gwiazdą, został szpakowatym creepem, no taka wyjątkowa historia, nigdy takiej nie słyszeliśmy. Pocieszałem się, że ja przynajmniej przez chwilę miałem to, co w tym zawodzie chcą mieć

wszyscy. Pół Polski mnie kochało, pół nienawidziło, ale każdy musiał mieć o mnie zdanie i to było kurwa piękne.

Oczywiście teraz, jak to panu opowiadam, to myślę, że łuk dramaturgiczny od cudownego dziecka polskiej sceny do przesłuchiwanego w nędznym pokoiku prokuratury rejonowej ma w sobie pewien potencjał. Bo przecież do niedawna byłem tylko przebrzmiałym autorem jednej sztuki, która w innej epoce utrafiła w swój czas – na szczęście nie ma na to paragrafów w kodeksie karnym.

CIĄG DALSZY NASTĘPUJE W KSIĄŻCE!

LINK **TUTAJ**

#13

Powinienem napisać osobne opowiadanie o historii tego projektu. Pierwszy zarys fabuły o odciętym od świata z powodu kwarantanny półwyspie helskim napisaliśmy z moim bratem Wojtkiem w listopadzie 2007 roku. W lutym 2008 roku spędziliśmy tydzień w opustoszałym Helu i umieraliśmy z zimna, zbierając materiały. Potem przez dwa lata pisaliśmy dla TVN kolejne wersje scenariusza sensacyjnego serialu, który ostatecznie nie trafił do realizacji. Ja pisałem książki, Wojtek został scenarzystą, ale ten przygodowy projekt zawsze był nam bliski i co rusz wracaliśmy do pomysłu wykorzystania tej fabuły. Ostatecznie na podstawie tego pomysłu napisaliśmy słuchowisko, czy – jak to się teraz modnie mówi – superprodukcję audio, której dwa sezony stały się wielkim hitem na platformie EmpikGo i tam odsyłam wszystkich, którzy chcą poznać całość tej historii. Ale był moment (w 2012), że uparłem się, że skoro potrafię pisać powieści przygodowe w stylu „Bezcennego”, to zrobię z „Mierzei” powieść. W końcu nic z tego nie wyszło, ale pierwszy rozdział pozostał.

KIEDY: 2022

GDZIE: EMPIKGO

MIERZEJA

ROZDZIAŁ 1: MORŚWIN

15 MAJA, 0700–1400

1

Ten dzień źle się zaczął, co mogło oznaczać tylko jedno. Że skończy się tak samo źle, albo i gorzej. Doświadczenie życiowe sprawiało, że w sprawie złych początków i gorszych końców Roman Bandyra był kimś w rodzaju eksperta, dlatego przygotowując się w myślach na najgorsze stęzał za sterami niewielkiego rybackiego kutra. Z zaciętą twarzą wpatrywał się w morze za szybą sterówki, jakby czekała go walka z ostrym sztormem na nieznanych wodach. Przyjacielskie klepięcie w plecy sprawiło, że stęzał jeszcze bardziej.

– Co taki spięty? Boisz się, że nie przetrwamy nawałnicy?

Roman mruknął coś na odczepnego. Planował uciec przed życiem towarzyskim w zacisze sterówki, wymawiając się trudami nawigacji, jak na złość Zatoka była tego dnia absurdalnie wręcz spokojna. Wanna z chlapiącym niemowlęciem wydawała się miejscem niebezpiecznym w porównaniu do tej cichej, oblanej ciepłym już wiosennym słońcem szarozielonej toni. Tak, to byłby dobry poranek i dobry dzień, gdyby nie to, że Roman Bandyra nie lubił turystów. Jedyna podróż, jaką w życiu odbył, to kiedy przeprowadzał się z rodzinnej Gdyni na Hel i nie rozumiał, jak ludzie z własnej woli mogą bez sensu przemieszczać się z miejsca na miejsce, i jeszcze tak się podniecać z tego

powodu. Zresztą dlatego przeprowadził się na Hel, bo na Helu był spokój. Tylko rybacy i wojskowi, żadnych turystów. Druty kolczaste i zasieki zamiast plaży, jeszcze niedawno trzeba było mieć przepustkę, żeby w ogóle wjechać do miasta. A teraz? Szkoda gadać. Zamiast marynarki niedobitki wojskowych, zamiast rybaków grupa smutnych bezrobotnych, załatwionych przez urzędników na amen. Kiedyś łowili, jak umieli najlepiej i ryb brakowało w sklepach. Teraz wszędzie góry ryb, a im łowić nie wolno. Jak to możliwe? No tak to, że ktoś na tym zarabia. Tylko nie oni.

– Zawsze to samo – burknął w końcu pod nosem do Tadzika.

– Co „zawsze to samo”?

– Zawsze robisz coś za moimi plecami.

– Ale jęczysz. Posiedzą, porobią zdjęcia, a zarobimy więcej, niż z tych wszystkich śledzi.

– Nie podoba mi się to – w obrażonym burczeniu Roman był mistrzem.

– A Brukseli ty się nie podobasz – Tadzik ściszył głos i nachylił się do niego. – I ja. I wszyscy rybacy. A turystyka im się podoba. No to wchodzimy w turystykę. Bo ja mam dwójkę i muszę im coś włożyć do pyska. Więc się postaraj trochę, dobra?

Klepnął Romana po ramieniu, przywdział szeroki kaszubski uśmiech i odwrócił w stronę siedzącej na rufie pary turystów.

– Co? Piękny nasz Bałtyk o świcie?

Ubrany w pomarańczową kurtkę mężczyzna spojrzał na niego z naganą.

– Jesteśmy na wodach Zatoki Puckiej.

Proszę, polscy rybacy. Nie wiedzą nawet, gdzie są, byleby tylko tych ryb powyciągać jak najwięcej, zamordować, doprowadzić do wymarcia. Adam cieszył się, że z tej wycieczki jest przynajmniej taka korzyść, że się parę rybek ocali, bo łowią dla tury-

stycznego picu, a nie na poważnie. No i widoki, nie ma to jak gdzieś pojechać, zobaczyć coś nowego, coś pięknego. Woda, natura, ukochana żona u boku. Czego chcieć więcej? Podniósł nową lustrzanekę do oka, zrobił kilka zdjęć oddalającej się Mierzei Helskiej.

– Pstrykasz i pstrykasz – warknęła ukochana żona Magda. – Całe baterie wypstrykasz.

– Akumulatorki.

– To co? Akumulatorki się nie marnują?

– Jezu, a możesz po prostu podziwiać przyrodę? W ciszy.

Magda przewróciła oczami.

– Jaką przyrodę? Tu jest tylko woda i dziwny zapach. I dwóch złodziei, którym dałeś się naciągnąć.

– O co ci znowu chodzi? – zniżył głos do szeptu, nie chciał, żeby rybacy go usłyszeli.

– O to, że jak zwykle przepłaciłeś.

W swoim niezadowoleniu wydała mu się atrakcyjna, na dodatek akurat skomponowała się fajnie z latarnią morską. Podniósł aparat i pstryknął. Będzie ładna fotka.

– Co ty robisz?

– No zdjęcie ci robię – usłyszał pretensję w swoim głosie i zrozumiał, że właśnie szlag trafił miły poranek na kutrze.

– Tyle razy mówiłam, żebyś mnie uprzedzał. Ja się muszę przygotować.

Nie chciało mu się komentować, nie chciało mu się kłócić, nie chciało mu się pogarszać tej durnej sytuacji. Ale było mu przykro, bo naprawdę cieszył się na tę wycieczkę. Bez słowa patrzył w drugą stronę, gdzie daleko na horyzoncie z wody i mgły wyłaniały się cienie Trójmiasta. W napięciu czekał, co zaraz usłyszy. Bo coś usłyszy.

– Nuda – powiedziała tak głośno, że jeden z rybaków się odwrócił. – Całe życie nuda.

Dokładnie w chwili, kiedy Adam patrzył w milczeniu w stronę Trójmiasta, po deskach sopockiego mola pędził na złamanie karku mężczyzna, próbując wygrać z chwiejącym się na wszystkie strony plecakiem i srebrną walizką na kółkach, która podskakiwała epileptycznie na deskach. Mimo trudności i długości mola udało mu się utrzymać tempo i dopaść schodów prowadzących na niższy poziom. Tutaj jeszcze przyspieszył zamiast zwolnić i choć powinien skrócić sobie kark, sfrunął ze stopni i w ostatniej chwili wskoczył na odbijający od przystani statek białej floty. Uniósł ręce w geście triumfu i wtedy plecak przypuścił ostateczny atak, przeważając go do tyłu i ciągnąc w stronę wody. Mężczyzna zamachał rozpaczliwie rękoma, ale dla wszystkich wycieczkowiczów obserwujących scenę było pewne, że przegra.

W ostatniej chwili za kołnierz kurtki chwycił go bileter i przywrócił do pionu.

– Obyś miał na bilet – powiedział, otrzepując dłonie.

Feliks uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi. Po pierwsze miał na bilet. Po drugie zdążył. Hel był coraz bliżej.

Hel zbliżał się też do Żanety, a raczej to ona zbliżała się do Helu. Jednak nie była z tego powodu szczęśliwa. Oparła głowę o ścianę wagonu i patrzyła na przelatujący za oknem świat swojego dzieciństwa. Ile razy widziała ten obrazek? Zbyt wiele razy. Byli teraz w największym miejscu półwyspu, woda za pasem pokręconych choinek i plaży wydawała się na wyciągnięcie ręki.

– A wie pani, co to znaczy PKP?

– Słucham? – gwałtowne wyrwanie z zamyślenia było jak uderzenie.

– Płać konduktorowi połowę! – pan Janusz wykrzyczał puentę i głośno się zaśmiał jako jedyny z obecnych w przedziale osób.

Żaneta uśmiechnęła się kwaśno, żeby nie robić mu przykrości. W końcu to ona była tutaj szefową, ona reprezentowała firmę przed tym trenerem, który niestety z kilometra na kilometr rozkręcał się coraz bardziej.

– A pani to chyba z tych stron? – kwaśny uśmiech został odebrany jako zaproszenie do kolejnej konwersacji.

– Dokładnie z samego Helu.

– Koniec Polski, co?

– My mówimy: początek – automatycznie odpowiedziała powtarzanym przez wszystkich miejscowych sloganem. – A pan skąd pochodzi?

– Właściwie to z Warszawy.

– Właściwie? – Żaneta drążyła temat tylko dlatego, że trenerowi zrzędała mina. Mała zemsta za kilkugodzinną podróż z wesołkiem.

– Właściwie to urodziłem się w Rybołach, pod Białymstokiem. Ale od ośmiu lat w Warszawie. Czyli Warszawiak, co nie? Wszystkie znam knajpy i w ogóle, ostatnio stolik w stolik siedziałem z Wojewódzkim, wie pani?

Spojrzał na nią i musiał zobaczyć cień tego, co sądzi o knajpach z Wojewódzkim, bo szybko przestawił zwrotnicę konwersacji.

– Fajnie tak wracać na stare śmieci?

Wzruszyła ramionami.

– To miejsce dobre na tydzień – nie na życie.

– Tydzień. Chciałbym to powiedzieć o Rybołach – pan Janusz westchnął, a z jego głosu zniknęły obecne tam od początku podróży radosne nutki. Zapatrzył się w krajobraz za oknem. – Tutaj to przynajmniej morze. Zresztą nieważne, może mówmy sobie na ty, pani Żaneto. Zaprzyjaźniliśmy się

już trochę, a przed nami kilka wspólnych dni podczas szkolenia...

– Jasne.

Nie była przekonana do tego rozwiązania, wołała zawodowy dystans, zawsze na dystansie wychodziła lepiej.

– Nie chcę się chwalić – pochwalił się Janusz – ale takiego szkolenia motywacyjnego jeszcze pani nie widziała.

– Mam nadzieję. Za tą cenę...

– No wie pani! – Janusz obruszył się, jakby obraziła jego matkę. Pomyślała, że nie powinna pozwalać sobie na tak nieprofesjonalną uwagę. Chociażby dlatego, że to nie ona przecież płaciła jego rachunek. – Mamy uprawnienia w całej Unii, ostatnio szkoliliśmy ludzi z ministerstwa, poznałem nawet osobistego asystenta premiera.

– Niesamowite – skomentował jeden z trzech drzemiących w drugiej części przedziału mężczyzn w garniturach.

Janusz się zamknął. Żaneta spojrzała na podwładnego takim wzrokiem, że ten momentalnie przeszedł z fazy półsnu w stan czuwania.

– To co, jakiś plan na dzisiaj? – zapytał radośnie Janusza, próbując zatrzeć złe wrażenie. Szybko wrócił do hałaśliwej formy.

– Of course! Do hotelu, pięć minutek na odświeżenie i spotykamy się na dole na małego ajsbrejкера.

– Słucham?

– No wiesz, przełamiemy lody, zapoznamy się, stworzymy team.

– Super.

Żaneta ponownie spiorunowała podwładnego wzrokiem, po czym uznała rozmowę za skończoną. Przytuliła głowę do brudnej szyby i patrzyła na nowobogackie pensjonaty Juraty. Na biegnącej wzdłuż torów szosie pojawiło się czarne BMW i szybko minęło wlekący się niemiłosiernie pociąg. Rzuciła okiem, oczywiście samochód na niemieckich numerach.

I lampa nad progiem, i krzesło, i drzwi, wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał. Woda i bursztyn powtarza wciąż mi... – Helmut zmienił słowa piosenki, którą śpiewał razem ze Skaldami, patrząc na zawieszoną pod wstecznym lusterkiem inkluzję. Zatopiona w bursztynie pszczoła od wielu lat przynosiła mu szczęście, miał nadzieję, że w połączeniu z jego ulubioną polską piosenką, będzie to szczęście dubeltowe. Naprawdę potrzebował go teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Mijał brudny po polsku pociąg, kiedy rozdzwoniła się komórka. Ściszył radio i zwolnił, próbując wygrzebać telefon pomiędzy rozrzuconych na fotelu pasażera sztabowych map, opakowań po kanapkach i papierowych kubków po kawie.

– Ja, bitte?

– I jak tam polowanie? – odpowiedział po niemiecku głos po drugiej stronie słuchawki. Głos chłodny i konkretny.

– Doskonale, a jeszcze nie dojechałem na miejsce. Wyszperałem w Gdańsku coś, co ci się spodoba.

– No?

– Niespodzianka. Ale będziesz zadowolony, obiecuję.

Helmut nie przesadzał, naprawdę był zadowolony. Bał się, że przez lata wyrośnie mu w Polsce jakaś profesjonalna konkurencja, ale ciągle potrafił w pierwszym lepszym antykwariacie wygrzebać rzeczy, na których miał potem u siebie dwukrotne, nawet trzykrotne przebicie. Nie miało to pokrycia w realnej wartości rzeczy, dlatego Polacy zupełnie nie potrafili oszacować tego, co sprzedawali. Nie rozumieli, że w Reichu ciągle są ludzie zdolni licytować tysiącami, żeby tylko mieć łyżeczkę z herbem ukochałego rodzinnego Elbinga, Kolberga, czy innego Lautenburga.

– A co z tym, o czym rozmawialiśmy? – zapytał głos.

– To najwcześniej za kilka dni, muszę się rozejrzeć. A i tak – wiesz, jak to jest. Stare dzieje.

– No wiem, ale spróbować trzeba. Kto wie. To może być duża rzecz.

Helmut poczuł irytację. Komu jak komu, ale jemu akurat nie trzeba tłumaczyć, że to duża rzecz.

– Największa – odpowiedział zdecydowanym tonem, który miał zakończyć rozmowę.

– Uważaj, żeby ci BMW nie ukradli – usłyszał w odpowiedzi.

Zaśmiał się szczerze i rozłączył. Nie był więźniem stereotypów i nie lubił ich, ale z drugiej strony – czy jest coś śmiesznego niż stereotypy?

5

Lekko na siebie nabzdyczeni Roman i Tadzik postępowali tymczasem zgodnie ze stereotypem prawdziwego rybaka. Milczący, z zaciśniętymi pod wusami ustami, pracowali w milczeniu ubrani w gumowe fartuchy. Sieci były już podebrane do burty, teraz trzeba je było tylko wciągnąć na pokład. Zwykle robili to wyciągarką, ale Tadzik w poprzednim sezonie zauważył, że prace ręczne robią na turystach większe wrażenie. Nasz klient, nasz pan. Odkąd połowy stały się bardziej atrakcją turystyczną, niż faktycznym źródłem dochodu, nie miało to takiego znaczenia. Ciągnęli równo, kiedy coś ciężkiego zawadziło o krawędź burty i stuknęło głucho.

Tadzik spozjrzał niepewnie na przyjaciela. Nie ma śledzi tak wielkich, żeby stukały o burtę. Dorszy i fląder zresztą też nie. Zdarzały się czasami jakieś śmieci, zdarzały się niestety też zwłoki. Prądy tak się układały, że imprezowiczów z Sopotu zwykle wyławiano na Mierzei. A niedawno był długi weekend majowy. Roman zrozumiał spojrzenie, ale co było robić, nie puszczą teraz sieci. Pociągnął mocniej, Tadzik razem z nim, sieć

z tajemniczą zawartością pokonała krawędź burty i łupnęła o pokład. W tej samej chwili turysta zaczął szybciej robić zdjęcia, a turystka histerycznie krzyczeć. Roman wciągnął powietrze i próbował przełknąć ślinę, ale miał zbyt ściśnięte gardło.

– Co to jest? – turysta odsunął aparat od twarzy, oczy miał szeroko otwarte ze strachu.

– Jezus Maria, Jezus Maria – powtarzała turystka. – Martwe dziecko, Jezus Maria.

Romanowi tymczasem minął pierwszy szok, przyjrzał się sieciom, po czym wyciągnął zza paska ostry nóż i uklęknął na pokładzie.

– Niech pan uważa, może trzeba reanimację...

Roman zdecydowanym ruchem rozciął sieci, uwalniając trochę srebrzystych śledzi i tajemniczy kształt, który na szczęście nie był zwłokami dziecka, tylko małym czarno-białym stworzeniem, przypominającym trochę orkę, a trochę delfina. Nad sympatyczną mordką błyszczały czarne oczy.

– To może zrobisz usta usta, kochanie? – turysta najwyraźniej mścił się za poprzednią rozmowę na rufie. – Uratujesz małego chłopca. Małego syrenka.

– No nie, to jakiś koszmar. Chcę natychmiast wracać z powrotem! Adam! Słyszysz!? W tej chwili masz mnie zabrać do domu, ale już!

Adam spojrzał na nią obojętnie i zaczął chodzić po pokładzie, cały czas robiąc zdjęcia, żeby mieć jak najwięcej ujęć niecodziennego znaleziska. Każdy trzask migawki coraz bardziej wchodził Romanowi na nerwy.

– Może już starczy tego reportażu? – warknął.

Adam odwrócił się obojętnie i zrobił mu zdjęcie. Romanowi więcej nie było trzeba. Poczuł, że cała kaszubska krew napłynęła mu do głowy, zahuczała między skroniami, spadła na oczy czerwoną zasłoną. Ruszył przed siebie, na szczęście Tadzik w ostatniej chwili wkroczył między mężczyzn.

– Dobra, wystarczy! Romek!

Roman przez chwilę jeszcze dochodził do siebie, w końcu uznał, że czas kończyć tę prywatkę. Zawrócił w stronę znaleziska.

– Co to jest? – spytała Magda, okrążając ostrożnie dziwne stworzenie.

– To jest zwykły szkodnik – odpowiedział Roman.

– Słucham? – w głosie Adama słychać było kpinę, ale Roman postanowił zachować spokój.

– A żebyś pan wiedział, szkodnik. Morświn. Zjada ryby i później my nie mamy co łowić.

Adam parsknął śmiechem, co okazało się pierwszym największym błędem tej chwili. Drugim było powiedzenie:

– A ile taki morświn zje tych ryb w ciągu dnia? Kilogram? Może wy po prostu ryb nie umiecie łowić?

Pytajnik na końcu zdania jeszcze wisiał w powietrzu, kiedy w powietrzu znalazł się także wyrwany Adamowi z rąk przez Romana aparat. Lustrzanka zatoczyła elegancki łuk, błysnęła w słońcu i spadła do wody z cichym pluskiem. Kiedy jej właściciel podbiegł do burty kutra, wspomnieniem po sprzęcie były tylko rozchodzące się po spokojnej wodzie kręgi.

– Co pan, oszalał czy jak!? Nówka sztuka, kupiłem przed wyjazdem!

Roman w odpowiedzi tylko spojrzał groźnym wzrokiem. Stojący obok niego Tadzik też nie wyglądał na kogoś, kto załagodzi kolejne starcie. W odpowiedzi Magda schowała się za plecami męża, za jego pomarańczową kurtką.

– Boże, przecież to są jacyś bandyci – wyszeptała.

CIĄG DALSZY NASTĘPUJE W KSIĄŻCE!

LINK **TUTAJ**

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca